

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Teresa Jadwiga

(Dwudziestopięciolecie jej działalności autorskiej).

Wszyscy czytelnicy nasi znają utwory Teresy Jadwigi, lecz oprócz powieści, zamieszczanych w pismach dla młodzieży, wyszedł cały szereg książek z pod jej pióra. I nie dziw, wszak w grudniu b. r. upływa lat 25 od chwili, gdy puściła w świat pierwszą swoją pracę p. t. „Gustaw Waza”. Ileż to odtąd wyszło książek jej, czytanych z zajęciem i współczuciem dla bohaterów i bohaterek tych powieści obudzających pragnienie uprawiania cichych cnot, i zamiłowania swych obowiązków. Lecz chcąc innym świecić przykładem, chcąc zachęcać młodzież do wszystkiego, co piękne, szlachetne i dobre, trzeba samej mieć ku temu gorące zamiłowanie. Uczucia te były też rozwinięte wysoko w sercu naszej autorki.

Teresa Jadwiga nosi cudzoziemskie nazwisko: „Papi”, gdyż ojciec jej pochodził z rodziny włoskiej, w kraju naszym zamieszkałej.

Urodziła się r. 1844 we wsi Strzegocinie nad Bzurą i tam się wychowała pod okiem matki Teodozyi z Gałęzowskich.

Bujna wyobraźnia podała jej pióro do ręki, pierwsze jednak próby autorskie skrzętnie chowała, rozumiejąc, iż nie

wszystko, co w najbliższym kółku pochwałą, godne jest zaraz druku.

W roku 1871 przerobiła z francuzkiego powiastkę historyczną p. t. „Gustaw Waza”, Gdy jednak krytyka zarzuciła jej błędy językowe, z całą pilnością zabrała się do gramatyki i zaczęła pracować nad językiem polskim pod kierunkiem znanego i cenionego nauczyciela ś. p. Ignacego Boczylińskiego.

Odtąd, ucząc się wciąż sama, poczęła uczyć innych, położyła więc zasługi nie tylko jako autorka, lecz również jako nauczycielka.

Pierwszem polem działalności jej nauczycielskiej było wychowanie dzieci swej siostry; później coraz więcej gromadziła około siebie uczennic.

Między 1872 a 1881 r. była kierowniczką zakładu naukowego w Warszawie, z którego wyszło dużo zacnych, spełniających gorliwie swoje obowiązki, kobiet.

Wśród uczennic miała pole do poznania różnych charakterów; z życia więc codziennego mogła brać wzory do swoich powieści. To też w „Różnych ścieżkach”, „Jedynacze”, „Szlachetnych marzeniach” i wielu innych współczesnych jej powieściach, odnajdujemy osoby, które zdaje nam się, żeśmy spotykali w kółku naszych znajomych. Oprócz obyczajowych, Teresa Jadwiga pisała także powieści, na tle dawnych dziejów osnute.

Zacna i pracowita jubilatka mieszka ciągle w Warszawie i nie wypuszcza z rąk pióra, a wierna zasadzie: „Pracuj, jak każe Duch Boży”, co rok wysyła w świat utwory, przeznaczone dla czytającej je z upodobaniem młodzieży.

Oby tak jeszcze długie lata mogła pracować bez przerwy!

Z. Morawska.

ŻYCIE W OCEANIE.

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg)

Skorupiaki.

Pokrewnym biernatkowi jest siłucz, (*Birgus latro*) żyjący w Azji na wyspach Filipińskich, zwany przez miejscowych mieszkańców „królem krabów”. Ogromny ten skorupiak, cho-

ciaż zalicza się do zwierząt wodnych, żyje jednak zwykle w norach ziemnych i wdrapuje się podobno na wysokie palmy kokosowe, aby pożerać młode owoce, oraz delikatne pączki, włókien zaś z orzecha kokosowego używa do wyścielania sobie gniazda, wyłobionego w ziemi.

Młodzi czytelnicy nasi, może będą zaciekawieni, jakim sposobem wodne zwierzę może bez szkody dla siebie przebywać dłuższy czas na lądzie? Odpowiedź na to znajdujemy u prof. Sempera z Wütrzburgu. Uczony ten zbadał, iż wskutek przebywania na lądzie, skrzela *siłacza* zmniejsza się znacznie, a natomiast ścianki jamy skrzelowej okryły się gęstą siecią naczyń krwionośnych, tym sposobem zamieniły się w prawdziwe płuca. Jestto więc zwierzę mogące żyć w wodzie oraz na lądzie, gdyż posiada dwójakiego rodzaju narządy oddechowe.

Na wyspach oceanu Spokojnego liczne są skorupiaki, należące do rodziny *chodaczników*, lecz drobnych rozmiarów, a prowadzące tryb życia podobnie jak siłacz. Chowają one kałdun ślimaków lądowych i włóczą je ze sobą na drzewa i krzaki, po których lażą. Prof. Moseley z Oxfordu opowiada, iż ujął raz muszlę, ucepioną do szczytu gałązki, myśląc, że to ślimak. Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy z otworu skorupy wysunęła się nagle para ostrych noży.

Niektóre gatunki *krabów* również lubią wychodzić z wody i przechadzać się po lądzie. Często zdarzało mi się widywać te zwierzęta, szybko biegające po wilgotnem wybrzeżu morskiem, niekiedy nawet widywałam je, przechadzające się po ludnych ulicach, znacznie oddalonych od morza. *) W Indjach żyje gatunek kraba (*Ranina*) słynny z włączenia na dachy domów. Wreszcie na wyspach Zielonego przylądka żyją kraby lekkie i zwinnie jak nasze pająki, tak, iż z trudnością uchwyć je można. Są to jednak wyjątki, najczęściej kraby są powolne i nieśmiałe, ukrywają się, jak mogą, do czego pomaga im sama natura. Skorupa ich bowiem jest często szorstka, nierówna, okryta kolcami i guzkami (patrz fig. 55 *Jeżokrab*) i dlatego jest doskonałym siedliskiem dla wielu wodorostów, gąbek, polipów, robaków, oraz drobnych skorupiaków, które żyją i rozrastają się na skorupie kraba, nie szkodząc przytem gospodarzowi, gdyż nie żywią się jego kosztem, lecz same polują na zdobycz. Tym sposobem krab zostaje przekształcony w istne żywe muzeum, umieszczone na jego grzbiecie, dzięki czemu sam jest doskonale ukryty przed okiem nieprzyjaciela.

— Wogóle wybitną cechą wielu skorupiaków morskich jest jakaś niepoohamowana dążność do wynalezienia sobie kryjówek. Pochodzi to po większej części z nieśmiałości, po części z tchórzowstwa, oraz z hypokryzji — by z ukrytego miejsca mógł snadnie napadać na zdobycz. Naprzykład pewne drobne skorupiaki (*Nasiębiera*) mają tak zbudowane nogi, iż nie umieją szybko biegać, nie mogłyby przeto otwarcie napadać na swą zdobycz, ani też uciekać przed napaścią. Niemniej umieją one radzić sobie w szczególniejszy sposób: chwytają otaczające je ukwiały, gąbki, lub żywe kolonie polipów, zarzucają sobie na grzbiet owe przedmioty, przytrzymując je pazurami tylnych nóg, resztę zaś nóg chowają w zagłębienia, znajdujące się na piersiach. Zamaskowane w ten sposób, przybierają one pozory kamienia, porośłego obfitą roślinnością, oszukują przeto czujność innych zwierząt i rzucają się na zdobycz zniechacka. Podobnie postępują *skrytosze* i niektóre inne skorupiaki, noszą one zawsze na grzbiecie jakikolwiek przedmiot, mogący je ukryć przed nieprzyjaciółmi lub przed zdobyczą; okrywają się więc wodorostami, muszlami ostryg i t. p.

Istnieją wreszcie inne sposoby oszukania przeciwnika. Wiemy dobrze, że zaskoczone nagle owady udają, że są mar-

twę, kurczą nogi i różki i tak pozostają bez ruchu przez czas jakiś. Takiegoż sposobu używają i *kraby*. Udawanie jest tem łatwiejsze, iż mogą schować nogi do odpowiednich zagłębień na piersiach, kleszczami, niby dłońmi, zakrywają sobie twarz i chowają wszystkie wyrostki, znajdujące się koło gęby, wreszcie krótki niezmiernie kałdun noszą zagięty pod spód, tak, iż gdy patrzymy na grzbiet kraba, to widzimy jedynie szerokie jego *tulogłowie*. (fig. 56 *krab kieszeniec*) W tej pozycji kraby podobne są raczej do pająka, niż do rzeczno-raka, atoli podobieństwo to jest tylko pozorne. Są to skorupiaki niezmiernie pospolite w morzach oraz na wybrzeżach, żyją pod skałami, zkład łatwo wydostać je można. Widujemy je często chodzące po dnie morskiem, lecz, co dziwniejsza, niektóre gatunki krabów lubią wychodzić z wody i przechadzać się po lądzie, o czem już mówiliśmy wyżej.

Gdy krab zauważy, że go dostrzeżono, natychmiast chowa się w piasek, a złapany broni się zawzięcie i szczypie kleszczami. To też należy mieć się na baczności z krabami wielkich rozmiarów; mogą one boleśnie zranić swemi potężnymi nożycami, które opatrzone są niekiedy silnemi zębami, z pozorów podobnemi do naszych zębów trzonowych, wówczas nożyce, zacisnąwszy się silnie, stają się niebezpieczną bronią. W portach morskich często opowiadają o nieostrożnych rybakach, którym homar lub krab kompletnie zgniótł palec u ręki lub nogi. Otóż dla uniknięcia wypadków, a bardziej jeszcze dla tego, aby homary nie pożerały się wzajemnie, handlarze wiążą im nożyce, gdy wysyłają na sprzedaż na dalszą odległość; niekiedy przecinają im ściętno między kleszczami, a wówczas homar nie może już napadać na swych sąsiadów.

Jeżeli, łowiąc kraba, pragniemy mieć go nieuszkodzonym, to nie należy nigdy chwycić go za nogę, gdyż odłamię się natychmiast i zostanie nam w ręku. Chwyćmy za drugą nogę — powtarza się to samo po raz wtóry, trzeci i t. d., dopóki krab nie straci wszystkich swych dziesięciu nóg. Krab równie łatwo traci nogi, jak jaszczurka ogon, a gwiazda morską ramiona. Spotykaliśmy się już z tem zjawiskiem i dawniej, i wiemy, iż nazywano je *autotomią*. Zauważmy jednak iż zwierzę, odcinające swe członki, nie rozumie, iż czyni to w celu, aby uciec przed nieprzyjacielem, przekonano się wielokrotnie, że odrywanie się członków jest automatyczne, to jest niezależne od woli zwierzęcia. Z drugiej strony nie należy mniemać, że nogi skorupiaków odrywają się z łatwością dlatego, że są kruche. Otóż tak nie jest; robiono bowiem doświadczenia i zawieszano na nodze kraba znaczne ciężary, a noga jednak się nie złamała. Lecz jeżeli nagle wywołamy podrażnienie, np. jeżeli szczypczykami schwycimy za nogę i ściśniemy ją, to oderwie się natychmiast od ciała! Zresztą autotomia dokonywa się tylko u żywych zwierząt, a nigdy u martwych, co najlepiej świadczy, że zjawisko to nie zależy od kruchości nóg. Na miejscu oderwanych członków wkrótce wyrastają u skorupiaków nowe członki.

II.

Skóra skorupiaków, o których wyżej wspominaliśmy, okryta jest twardym i połyskującym niby wylakierowanym pancerzem. Ochronia on doskonale ciało tych zwierząt, ale zarazem jest wielką przeszkodą do ich wzrostu. Szttywna ta skorupa nie może rozszerzać się w miarę rozrastania się ciała, i dlatego skorupiaki zmuszone są w pewnych okresach czasu zmieniać swój stary pancerz zbyt ciasny i czekać, by na skórze ich wyrosła nowa skorupa. Młode skorupiaki szybko rosną, przeto po kilka razy do roku zmieniają skorupę, czyli, jak się to mówi, lenieją. Natomiast dorosłe skorupiaki zmieniają zwykle pancerz raz na rok. Bywają tu jednak liczne wyjątki, widywano skorupiaki, które nie zmieniały pancerza przez lat kilka (według spostrzeżeń Fredericq'a.)

Zmiana pancerza jest dla skorupiaków czynnością nader przykrą, a częstokroć wielce nawet niebezpieczną, zwłaszcza dla zwierząt wielkich rozmiarów. Posłuchajmy, co mó-

*) Skorupiaki niezmiernie łatwo przystosowują się do oddychania suchem powietrzem. Przyrodnicy niejednokrotnie już mieli niespodzianki, gdy zwiedzając gorące kraje, napotykali kraby wśród roślinności w głębi łąd, oraz na wysokich górach. Nawet w Japonii znajdowano kraby na wysokości 4,000 stóp.

wi o tem przyrodnik Frederieg, który sam obserwował to zjawisko.

Przed zmianą pancerza skorupiak ma jakby przeczucie grożącego mu niebezpieczeństwa: staje się niespokojnym, unika towarzystwa swych współbraci i poszukuje ciemnej kryjówki, aby ukryć przed drapieżnikami swe miękkie ciało, świeżo obdarte z naskórka.

Gdy następuje stanowcza chwila, na grzbiecie homara skorupa pęka, i powstaje poprzeczna szpara między tułogłowiem a pierwszym pierścieniem kałduna (*Vitrou*); przez ową szparę musi prześliznąć się całe ciało skorupiaaka to jest tułogłowie, kałdun i wszystkie nogi. Dokonanie tej czynności stanowi właśnie ciężką chwilę w życiu skorupiaaka. Zwierzę kładzie się na bok i wstrząsa gwałtownie całem ciałem oraz wszystkimi członkami; wskutek tych ruchów miękka skóra zupełnie oddziela się od pancerza. Następnie zwierzę usiłuje wyswobodzić ze skorupy przednią część ciała, oraz powyciągać miękkie części nóg z otaczającej je pochwy, podobnie jak my wyciągamy rękę z rękawiczki. Jest to mozolna praca dla biednego zwierzęcia, zwłaszcza z nożycami ciężka sprawa, ponieważ muszą one przejść przez dolne pierścienie nóg, znacznie węższe. To też darza się często, że jedna lub nawet kilka nóg odrywa się przy tej czynności.

Najczęściej jednak skorupiak szczęśliwie oswobadza przednią część ciała i wyłazi przez szparę na plecach niezmiernie zboląły i wzruszony tem przejściem. Pozostaje mu teraz wyciągnąć przez tę szparę cały kałdun, co idzie stosunkowo łatwo, podskakuje on nagle naprzód i wyciąga kałdun ze starej powłoki. Lenienie skończone. Porzucona skorupa wraca do dawnego stanu, szpara się przymyka, tak, iż wydaje nam się teraz, że mamy przed sobą jakby dwa raki: jeden sztywny i nieruchomy, drugi miękki, nagi i żywy; jest on zarazem znacznie grubszy i dłuższy od swej skorupy, w której mu też było za ciasno. Tak zmieniają pancerz nasze raki rzeczne, homary i inne skorupiaki *długocooniaste*. U krabów porządek lenienia się jest nieco odmienny.

(d. n.)

DLUG OJCOWSKI

POWIEŚĆ

przez H. Jerlicza.

(Dalszy ciąg).

— Wiesz, co ci powiem? Zostań przy mnie na zawsze i pielegnuj mnie tak, jak dotąd, a ja przybiorę cię za córkę i zapiszę ci cały majątek. Co, dobrze?

Stenia potrząsnęła głową.

— Nie — wyrzekła, podnosząc na panią Jelską bardzo rozumne oczy — jabym tej ofiary od pani nigdy nie przyjęła; pani ma krewnych, rodzinę, tej się należy wsparcie od pani!

Staruszka się rozgniewała.

— Nie, nie, nie! — zaczęła wołać — krewni po mnie nic nie otrzymają, są utracjusze, marnotrawcy, dawać im, to rzucić majątek w błoto!

— W takim razie niech pani zapisze na cele dobra publicznego.

— A na jakie, proszę cię panno O., na jakie? Gdyby mój Dodo mógł dziedziczyć po mnie, zapisałabym na instytut zaniedbanych zwierząt, ale takich instytucji niema u nas.

— Ale są instytucye, dążące do podniesienia moralnie zaniedbanych dzieci, gdzie małe, drobne, nieszczęśliwe istoty otrzymują opiekę, wychowanie i oświatę, aby wyrosły na ludzi uczciwych, a nie na szkodliwych włóczęgów, lub przestępców; są instytucye, dające zdrowie tym, którzy się leczyc nie mogą, bo nie mają za co; czyż wsparcie, dane podobnym zakładom,

nie jest znacnym, obywatelskim czynem? — zawołała Stenia zrumieniec zapалу na twarzy.

Ale staruszka nie przestała się gniewać.

— Niepotrzebnie się egzaltujesz, panno O. — wyrzekła ostro. — Zrobię ze swoim majątkiem co mi się podoba, a tobie nic do tego. Wiem tylko, że jesteś niewdzięcznica i masz złe serce, zawiadłam się na tobie i żałuję tego niezmiernie. Przekonywam się, że na ludzi z tej, co ty sfery, sfery płatnych najemnic, niema co liczyć. I wyszła z pokoju, szarpnawszy gniewnie zasłoną.

Steni łzy puściły się z oczu. Czowała się dotkniętą i upokorzoną. Wsunawszy się za firankę okna, cicho płakała. Te nagłe zmiany humoru pani Jelskiej, niezasłużone wymówki, dotkliwie słowa były dla niej niezmiernie ciężkie do zniesienia, prawie nad jej siły. Ach! jakże pragnęła wtedy ulecieć na skrzydłach ptaka do tego ukochanego gniazda, które wraz z bratem opuściła tak dawno; nigdy jeszcze Ostrowa nie wydawała jej się takim drogiem, upragnionem schronieniem, nigdy jeszcze tak bardzo nie tęskniła za nią, jak w takich chwilach. A gdyby rzucić tu wszystko i uciec tam, do tego drogiego zakątka? Tak? a co się stanie z długiem, który wraz z Jankiem przysięgli sobie spłacić? Do tej pory spłacili już trzy tysiące rubli, dwa lata jeszcze poświęcenia i wytrwania z jej strony, a wszystko spłacone zostanie, i to ona, ona sama spłaci tę resztę brakującą. Tak, ona, bo nie pozwoli bratu, który właśnie wyjechał za granicę, ofiarą własnego zdrowia czynić oszczędności: wzięła na to od niego słowo i będzie pilnować tego, aby Janek dotrzymał tego słowa. A więc ona, pracując, pracuje równocześnie dla ojca i dla brata.

Na tę myśl błoga otucha wstępuje w serce Steni, głęboki spokój i rezygnacya zajmują miejsce zniechęcenia i wewnętrznej walki w jej duszy, czuje się silną do zniesienia wszelkich trosk i wszelkich przykrości i z niezmacną słodyczą i łagodnością zachowuje się względem pani Jelskiej, która po kilku godzinach zamknięcia się w swoim pokoju wraca teni samemi drzwiami, któremi wyszła.

— Słuchaj-no, panno O. — przemawia do Steni, ale już zupełnie innym głosem — coś to mówiła o jakichś dzieciach nieszczęśliwych, pragnących się czegoś uczyć, czy coś podobnego. Czy znasz jakie podobne dziecko?

Stenia odpowiedziała łagodnie:

— Mówiłam w ogóle o wszystkich biednych dzieciach.

Wtem przyszła jej myśl o Józiu, biednym szewczyku, któremu jej brat dawał lekcye na skrzypcach, a wyjeżdżając za granicę, postarał się dla niego o nauczyciela równie bezpłatnego, obiecując sobie dołożyć wszelkich starań, aby go umieścić w konserwatorium ze względu na jego wybitne, nadzwyczajne zdolności. Teraz Stenia pomyślała sobie, że możnaby użyć gotowości pani Jelskiej do zajęcia się losem dziecka, potrzebującego nauki, na korzyść talentu Józia, a chociaż obawa, jak to przyjmie staruszka, nie była mniejszą od jej chęci, przewyciężyła się jednak, mówiąc sobie, że grzechemby było z jej strony ominąć sposobność wyrządzenia komuś tak wielkiego dobra. Więc choć serce jej biło w piersi, odezwała się spokojnie:

— Mój brat uczył grać na skrzypcach biednego, bardzo biednego chłopca, którego rodzice nie mieli i nie mają za co kształcić. Brat mówił zawsze, że należałoby go koniecznie umieścić w konserwatorium, i że jak powróci z za granicy, postara się tem zająć, bo chłopiec ma wielką przyszłość przed sobą.

— Cóż to za jeden ten chłopiec? — zapytała staruszka ciekawie.

Tego tylko było potrzeba Steni, aby staruszka objawiła chęć wysłuchania historii Józia; zaczęła jej o nim opowiadać wszystko, co wiedziała sama i co słyszała o nim od Janka, a następstwem tego było, że Józio wszedł do konserwatorium kosztem pani Jelskiej, która mu zapewniła całe utrzymanie i fundusz na dalsze kształcenie się za granicą, jeżeliby talent chłopca ziści pokładane w nim nadzieje. Stenia była uszczę-

śliwioną, że za jej wpływem biedny chłopiec miał zapewnioną przyszłość, i myślała sobie, że jeden taki fakt zdolny wynagrodzić wiele zmartwień i wiele przykrości.

VIII.

Było to na kilkanaście minut przed przyjsciem pociągu; przed peron dworca zajęchał wykwintny powozik z elegancką liberyą, a z niego wysiadły dwie młode panienki: jedna wysmukła, jasna blondynka, druga brunetka o czarnych, żywych oczach. Lekko wbiegły na salę po kamiennych schodach i zaczęły się przeciskać przez ciżbę ludzi, tłoczącą się z jednej i drugiej strony. Była to Stenia, która ze swoją przyjaciółką Elcią Kolińską przybywała naprzeciw brata, wracającego po dwuletnim pobycie za granicą. Całe dwa lata nie widziała Janka, to też serce jej biło na samą myśl ujrzenia go i nie mogła spokojnie doczekać tej chwili, ale postanowiła prosić pani Jelskiej, aby jej pozwoliła pojechać na dworzec w towarzystwie przyjaciółki naprzeciw brata. Staruszka nie tylko dała swoje pozwolenie, ale ofuknęła się na Stenię, gdy ta chciała jechać najętą dorożką, kazała założyć do swojej karetki i służyć pojechać w liberyi.



Fig. 55. Jeżokrab (*Maja squinado*) pięć razy zmniejszony.

— Kogo ja szanuję i kto przebywa w moim domu, ten będzie jeździł moim pojazdem — wyrzekła nadąsana. — Twój brat też nie jest żadnym obdartusem, ale porządnym młodzieńcem, któremu ofiaruję gościnę pod własnym dachem. Jedź, jedź i przywieź go tu zaraz, a pilnuj tam przez drogę tej narwanej dziewczyny, żeby nie wypadła na bruk i nie połamała sobie kości, bo miałybyśmy później obie ambaras z policją.

Ta przestroga odnosiła się naturalnie do Elci, która wiecznym niepokojem nabawiała biedną staruszkę przez swoją żywość.

W ten sposób obie dziewczęta znalazły się na peronie dworca kolei wiedeńskiej.

— Czy aby przyjedzie, mój Boże, czy aby przyjedzie — powtarza niespokojnie Stenia, ściskając rękę Elci.

Wtem ogląda się, bo ktoś ją gwałtownie szarpnął za suknię: to dwaj Cięciwiczowie, dawni uczniowie Janka, teraz już spore wyrostki, szczególnie starszy, na którego rumianej, puciołowatej twarzy błyszczy uradowanie, tak go cieszy myśl ujrzenia pana Jana.

— Proszę pani, czy tylko napewno pan Jan dziś przyjedzie? — pyta, pokazując białe, zdrowe zęby w uśmiechu.

— Tak pisał do mnie — odpowiada Stenia.

— Kiedy pisał, to już napewno przybędzie — mówi z przekonaniem Maniek, a równocześnie daje znaki porozumienia jakiemuś blademu chłopcu o łagodnym wyrazie twarzy i dużych błyszczących oczach, który mu odpowiada uśmiechem. Stenia w bladym chłopcu poznaje Józia, dawnego szewczyka, a obecnie ucznia konserwatorium, daje mu znak, aby się przybliżył, i cała gromadka wyczekuje na peronie nadejścia pociągu.

— O! już idzie — przemawia Benio, ujrzawszy dym z daleka.

Pociąg zatrzymuje się przed dworcem, robi się ścisk, tłok nadzwyczajny, z wagonów wychodzą pasażerowie, każdy upatruje kogoś ze swoich lub z kimś się wita. Stenia z bijącym sercem, z natężonym wzrokiem upatruje wśród przybyłych brata; dostrzega jakiegoś pana o elastycznych ruchach i wysmukłej postawie. Byłżeby to Janek, taki duży mężczyzna? To on, ani chybi, już ją dojrzał i dąży copędzej w jej stronę, a za chwilę przyciska ją z radością do piersi. Są oboje tak wzruszeni, że nie mogą przemówić słowa, Janek odzyskuje dopiero równowagę, witając Elcię. Ale Maniek czekał tylko chwili, gdy dawny jego nauczyciel skończył się witać z paniami, teraz bez ceremonii jednym zamachem odpycha Józia



Fig. 56. Krab kieszeniec (*Cancer pagurus*) $\frac{1}{3}$ wielkość nat. widziany od strony grzbietowej.

i Benia rzuca się Jankowi na szyję, a następnie zaczyna go całować po rękach, przyczem nie przestaje się śmiać z radości. Następuje serdeczne powitanie pomiędzy dawnym nauczycielem a chłopcami, którzy rozbierają pomiędzy siebie ręczne pakunki Janka i tak w całej asyście odprowadzają go do powozu pani Jelskiej, który zabiera i uwozi całą trójkę: Janka i Stenię z Elcią.

(d. n.)

Podróż Nansena

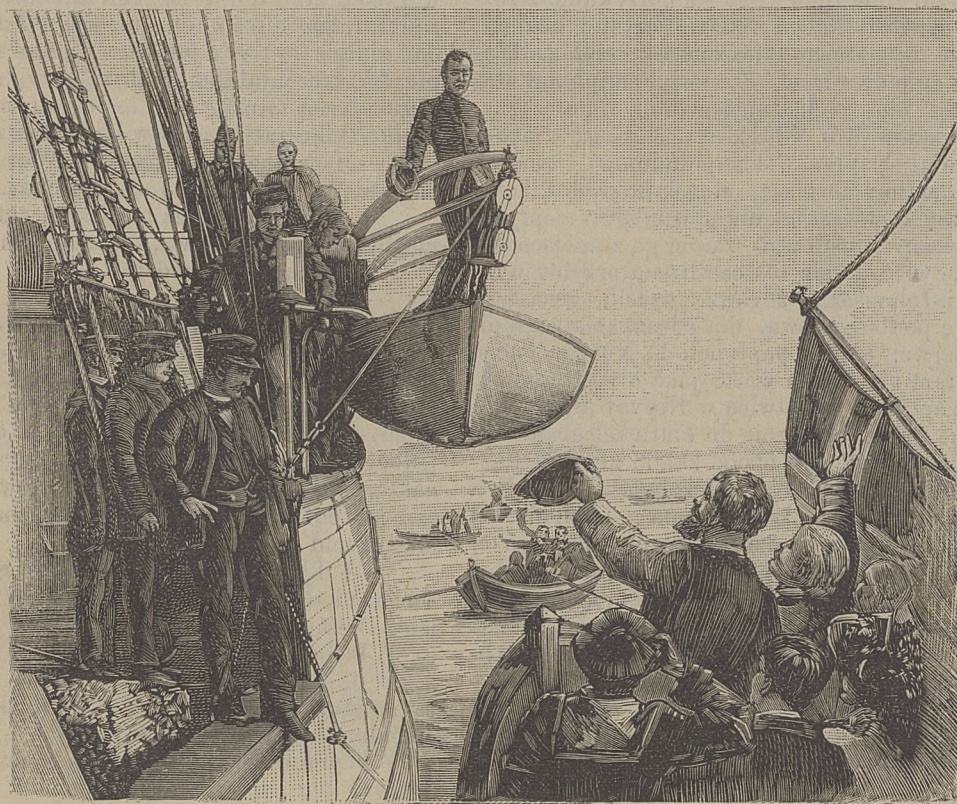
WEDŁUG JEGO OPOWIADANIA.

W jednym z dzienników angielskich ukazał się obecnie opis podróży Nansena, skreślony przez niego samego. Sądząc, iż zajmą czytelników naszych, przygody odważnego podróżnika, o którego wyprawie podbiegunowej równie jak i tryumfalnym powrocie do kraju, wspominaliśmy już w Wieczorach, podajemy tu wyjątki z nich w streszczeniu. Nansen powiada,

nie dosięgnął na północ punktu, do jakiego nie dotarł jeszcze. Jeden z jego poprzedników, dzieliła go bowiem tylko przestrzeń 220 mil geograficznych od bieguna północnego. Zamiarem Nansena i jego towarzyszy było, nie wykrycie miejsca gdzie leży oś ziemi, ale dokładniejsze poznanie oceanów lodowatych, około tej osi rozlanych. Zebrane spostrzeżenia utwierdziły wnioski, że w morzach podbiegunowych ciągnie się nieprzerwany prąd w kierunku od wysp na północ Syberii położonych, ku Szpitzbergowi, lub Grenlandyi. Dla przekonania się o tem, zbudowano okręt „Fram” tak urządzony, aby mógł wytrzymać napór olbrzymich lodowców i posuwać się wraz z nimi po morzu podbiegunowem. Statek

mógł. Po nocy bowiem panującej tu bez przerwy, w początkach marca dopiero, ujrano pierwsze promienie powracającego słońca.

W ciągu ubiegłych miesięcy okręt zmienił kierunek drogi, pchany zwołna przez ciągnące go bryły lodowe ku północy i północno-wschodniej stronie. Z powrotem wiosny Nansen powziął śmielsze jeszcze przedsięwzięcie: postanowił na łyżwach dotrzeć do najdalszego możliwego dla człowieka punktu w okolicach podbiegunowych. Wracając z wycieczki, miał nadzieję odnaleźć miejsce, gdzie okręt wraz z załogą wedle rachuby jego mógł się znajdować; w przeciwnym razie, gdyby go nie odszukał, umyślił udać się do Szpitzbergu, z kąd



Powitanie powracającego Nansena.

„Fram” wypłynął z portu Norwegii w czerwcu 1893 roku, a dosięgnąwszy wysp syberyjskich, zamarł wśród lodów we wrześniu tegoż roku. Dwóch Samojedów, od których podróżni nabyli kilka psów do pociągu w wycieczkach po wybrzeżach Syberii, stanowiło ostatni węzeł łączący członków wyprawy, nie już ze światem cywilizowanym, ale ze społeczeństwem ludzkim, na czas trzech lat prawie. Okręt był obficie zaopatrzone we wszystko, co jest niezbędnem zarówno dla umysłowych jak dla fizycznych potrzeb człowieka; oświecono go światłem elektrycznem, była biblioteka z doborowych dzieł złożona i różnego rodzaju gry towarzyskie. Każdy z podróżnych miał wyznaczony zakres pracy w prowadzeniu doświadczeń naukowych, i w zajęciach mających na celu skrócenie czasu w ciągu owych długich, podbiegunowych nocy, o jakich mieszkańcy innych stref dokładnego nawet pojęcia mieć nie

określili. Po nocy bowiem panującej tu bez przerwy, w początkach marca dopiero, ujrano pierwsze promienie powracającego słońca.

Historya pielgrzymki dwóch wędrowców po szczytach i stokach olbrzymich brył lodowych, w temperaturze dochodzącej zwykle do 40° niżej zera, jest jednym pasmem nieustających walk, trudów i niebezpieczeństw. Groziły im bowiem nadmierne zimna, drapieżne niedźwiedzie i śmierć głodowa. Szczęściem dla nich, życie zwierzęce nawet w tych strefach polarnych, bujnie bywa rozwinięte, zabijając więc od czasu do czasu morsa lub niedźwiedzia, dr. Nansen i jego towarzysze karmili się ich mięsem i tym sposobem zdołali zachować siły i zdrowie. Dosięgli oni 80° stopnia geograficznego szerokości

północnej, i tu wszedłszy na szczyt wysokiego lodowca, widzieli przed sobą jak daleko oko ich dojrzeć mogło jeden ciąg olbrzymich brył lodowych. Śniegu stosunkowo mało pada w tych stronach, ostre bowiem zimno nie dopuszcza wilgoci i dla tego deszcz jest tu prawdziwą osobliwością. Po niezliczonych walkach i trudach, podróżni nasi doszli do północnych wybrzeży kraju zwanego ziemią Franciszka Józefa, a ponieważ pora spóźnioną już była, postanowili tu przeczimować. Zbudowali sobie mieszkanie z ziemi, kamieni i brył lodowych, a upolowane morsy dostarczyły im pożywienia oraz paliwa i światła na ogrzanie i oświecenie ciemnej nory, gdzie we dwóch przepędzić musieli całą zimę. Trudno wyobrazić sobie wszystkich przykrości owej zimy 1894 — 1895 spędzonej przez nich samotnie, bez książek i bez zajęcia. Jedli tylko i spali naprzemiennie; rzadko dla zebrania nowych zapasów, odważali się na niedaleką wycieczkę po wybrzeżu. Czasem tylko dochodziło ich uszu drapanie lisów dobierających się do nory. W końcu jednak doczekali się wiosny 1895 r. i mogli podążyć do Szpietzbergu, gdzie spotkali członków wyprawy angielskiej, wysłanej w strony podbiegunowe dla niesienia im pomocy. Z nimi spędzili zimę roku 1895 — 96, używając z rozkoszą przywilejów cywilizowanego świata: czystej odzieży, zwyczajnego jedzenia, wygodnego mieszkania i książek, których byli pozbawieni całe dwa lata. Z wiosną nadpłynął statek „Windward”, na nim podróżni powrócili do ojczyzny. Tegoż dnia, kiedy wylądowali w Vardö, okręt „Fram” oswobodzony z lodów miał popłynąć ku południowi. Załoga jednak przedtem nie mało ucierpiała, statek bowiem tak silnie zamarzał, że nawet z powrotem dni stosunkowo ciepłych, czyniono wiele bezowocnych usiłowań, zanim go z miejsca poruszyć zdołano. Nie wiedząc nic o szczęśliwym przybyciu do ojczyzny Nansena i Johansena, żeglarze sądzili, że należy zrobić nową wyprawę podbiegunową, dla odszukania zaginionych towarzyszy, pierwsi jednak popłynęli do Norwaj, chcąc się dowiedzieć, czy tam nie doszła wieść jaka o wędrowcach. Kapitan Sverdrup, zarzucając kotwicę w Norwaj dnia 20-go sierpnia w nocy, udał się bezzwłocznie do biura telegraficznego. Pukał czas jakiś do drzwi napróżno, zanim głos jakiś zapytał z gniewem: „Kto jesteś? Czego potrzebujesz”. — „Nazywam się Sverdrup, kapitan okrętu Fram” — odparł. — „Służę natychmiast” — odpowiedziano bardzo uprzejmie, i urzędnik telegrafu wyszedłszy pospiesznie zwiastował radośną nowinę, że Nansen i Johansen powrócili do kraju. — Dodać jeszcze należy, że zdrowie całej załogi okrętowej w doskonałym było stanie, i że w ciągu całej wyprawy wydarzyło się tylko kilka wypadków katarów gastrycznych i reumatyzmu. Nikt z ludzi nie chorował na szkorbut, co przypisać należy starannemu urządzeniu wyprawy pod względem higienicznym.

Nie powtarzamy tu już znanych powszechnie opisów przyjęcia Nansena w ojczyźnie, zarówno przez króla jak przez naród cały. Rycina nasza przedstawia powitanie jego w chwili przybycia. Żona i malutka córeczka, które go oczekiwały z niepokojem i tęsknotą były także wśród spotykających go.

MAŁY WŁOCH.

Na wielkim dziedzińcu szkoły pana X. bawiła się gromadka chłopców, jedni strzelali do celu, drudzy gonitwy uprawiali, inni grali w palanta, a wpośród wszystkich było wesoło i gwarno, jak zwykle w sobotę, w dzień rekreacji, gdy lekcye już przygotowane na poniedziałek. Myśl swobodna bujała w niedalekiej przyszłości, w niedzielę bowiem miano uczynić pozamiejską wycieczkę, w której obiecywano sobie wiele przyjemności. Wtem nagle rozległo się wołanie:

— Patrzcie, patrzcie, mała!

Ten i ów rzucił piłkę, zaprzestał gonitwy, oglądają się, szukają wzrokiem małpy; w istocie w bramie dziedzińca uka-

zał się mały Włoch o ciemnej, spalonej słońcem południa twarzy, o pełnych ognia oczach i czarnych, jak pióra krukce, włosach, w wysokim kapeluszu o szerokim rondzie. Niósł on na rękę małpkę w czorwonej sukni, która przyczepiwszy się do jego ramienia, z widocznym niepokojem patrzyła na biegnących ku niej chłopców. Włoch pokłonił się z uśmiechem wszystkim, oni otoczyli go wokół.

— Każ jej tańczyć! — wołali.

Włoch zdjął małpkę z ramienia, postawił na ziemi i mrużąc jakąś piosenkę włoską, klaskał w takt biczem, jaki miał w rękę; małpa poczęła tańczyć. Chłopcy uradowani klaskali w dłonie, tupali nogami, brzydkie to stworzenie zachwycało ich. Przysunął się do tej gromadki głośniejszy, zajętej i pan Skalski, nauczyciel dyżurny, i również z uśmiechem przypatrywał się taneczniczy, budziła ona ogólną wesołość; nareszcie zmęczyła się i wskoczyła na ramię Włocha, który w nagrodę dał jej orzecha. Małpa, ujawszy owoc zręcznie w łapki, poczęła nim na wszystkie strony obracać, oglądać jak gdyby namyslała się, z której napocząć go strony, a od czasu do czasu ku dzieciom spoglądała i wykrzykiwała się dziwnie, ztąd nowa uciecha dla chłopców, znowu śmiechem zadrała dziedziniec, ten i ów sięgnął do kieszeni, by także coś dać małpie za to, że ich bawi, jeden znalazł karmelek, drugi piernik, trzeci jabłko; małpa przyjmowała dary, kosztowała i rzucała na ziemię, a Włoch podnosił i chował do kieszeni, jabłko tylko zatrzymała w łapkach i zjadać poczęła chciwie.

— Czy dawno już jesteś w Warszawie? — zapytał Włocha jeden z chłopców, Józio Boliński.

— Drugi rok już mieszkam tutaj — odparł wędrowiec niezbyt poprawną mową, zrozumieć można było go wszakże.

— Zkądże pochodzisz?

— Z Neapolu.

— To podobno bardzo piękne miasto — wtrącił się do rozmowy kolega Bolińskiego, Stefan Jarzyński.

Włoch podniósł czoło, oczy mu zabłyśły.

— Równie pięknego, jak nasz Neapol, niema na całej ziemi — rzekł z dumą szlachetną — co za pyszne pałace! ani jednego niema takiego w całej Warszawie, a jakie kościoły nasze wspaniałe, a niebo jakie cudowne, a okolice jakie urocze; na całej ziemi, mówię paniczom, niema piękniejszego miasta nad Neapol.

— Taki piękny, a jednak go rzuciłeś i tu siedzisz? — tonem niedowierzania rzucił pytanie Kostuś P., również kolega Bolińskiego.

Włoch westchnął.

— Głód mnie zmusił — rzekł — pięcioro nas w domu, ja najstarszy, poszedłem w świat pracować na chleb, nie chciałem być matce ciężarem.

Wymowne oczy wędrowca wyrażały teraz wielki smutek. Józio żał się go zrobiło, sięgnął do kieszeni i dobył pieniądze.

— Masz za uciechę, jaką nam sprawiłeś — rzekł, dając mu złotówkę.

Włoch podziękował i przyjął nagrodę, za przykładem Józia poszedł Stefan.

— Ile też zarabiasz dziennie? — zapytał.

— Różnie bywa — odparł Włoch — dziś wasze złotówki panicze, to pierwszy mój zarobek; czasami ani grosza nie przyniosę do domu, czasami rubla, czasami więcej, różnie bywa. Zima zwykle cięższa, bo mróz dokucza, więc mało kto chce patrzeć na ulicy, jak tańczy moja Dolla, a do mieszkań mało kto wpuszcza. Latem łatwiej o zarobek, w przeszłym tygodniu całe dwa ruble matce posłałem, toż to uciecha musiała być w naszej biednej chacie, gdy je odebrali!

Gdy to mówił, oczy jego nie dumą, ale szczęściem zaświeciły teraz, śnać matka, bracia, siostry i Neapol to były jego bóstwa.

— A czem jest twój ojciec? — spytał Józio.

— Ojca nie mamy, matka sama na nas pracuje; mieszkamy nad samą zatoką, łowi ryby, temi się żywimy, a trochę sprzedaje, to jej zarobek; lichy, co robić, teraz im lepiej, bo jedne usta ubył do karmienia, a przytem posyłam im od czasu do czasu trochę grosza.

— Czy twoja Dolla nie umie jeszcze jakiego tańca, lub innego? — zapytał Stefan, który pragnął, aby mały wędrowiec coś jeszcze zarobił.

Włoch się uśmiechnął, spuścił małą na ziemię.

— Dolla, gimnastykuj się! — zawołał.

Mała poczęła wywracać koziółki, stawiała na głowie, wziępiona jedną nogą swego pana, huśtała się w powietrzu, swoje sztuki wyprawiała. Chłopcy znowu klaskali w dłonie, palili nogami, wołali: „Brawo” „bis' bis!” a gdy wreszcie wyczona usiadła znowu na ramieniu Włocha, dobyli z kieszeni portmonetki i każdy dał coś wędrowcowi; Włoch pieniądze przeliczył, dostał aż siedm złotych, pokłonił się nisko i chciał już odejść, gdy Kazio P. zaczął go jeszcze pytać:

— Powiedz mi, czy to prawda, że wy w Neapolu tylko makaron jadacie.

Włoch się rozśmiał.

— Nieprawda, paniczu — odparł wesoło — jadamy makaron i lubimy go bardzo, ale jadamy też ryż, kukurydzę, marańcze, których w naszych ogrodach tyle, co u was błoni.

— Nie wierz mu — odezwał się milczący dotychczas Edzio Z., złośliwy bardzo chłopiec — on się nie przyzna, ale dobrze wiem, że oni prócz makaronu nic więcej nie jadają, a Włochi to tacy próżniacy, iż nic im się robić nie chce i wolą z głodu umrzeć, niż pracować.

Czarne oczy Włocha zaświeciły gniewem.

— To nieprawda — rzekł — jak wszędzie tak i u nas próżniaki, są i pracowici.

Lecz Edzio, nie zważając, że mu przykrość sprawi, ciągnął dalej:

— To próżniaki okropne, powiadam wam, nie myją się, nie czeszą, cały dzień leżą na słońcu, kraść tylko umieją, a wójtów w nich pełno po lasach.

Przeholował Edzio. w piersi Włocha gniew zakipiał całą siłą południa, z oczu jego skry się posypały, podniósł w górę dłoń, w której trzymał ściśnięte zarobione przed chwilą pieniądze i rzucił je chłopcom.

— Kiedy panicze moim braciom i mojej ziemi ubliżają, to ja nie chcę ich pieniędzy — zawołał.

To powiedziałwszy, odwrócił się i oddalił.

W ściśniętej gromadce cisza zapanowała, Włoch zadziwił ich i upokorzył, stali, patrzyli po sobie i nie wiedzieli, co powiedzieć, pierwszy oprzytomniał Józio, wyrwał się z tłumu i krzyknął im:

— Zbierzcie pieniądze! pobiegł za Włochem, dogonił go już na ulicy, położył dłoń na jego ramieniu.

— Wróć do szkoły — rzekł — mój kolega zażartował; powiedziałaś, żeś dziś nic jeszcze nie zarobił, za coś sobie kupisz wieczerek?

— O paniczu, wolę głód, niż chleb za te pieniądze kupiony, matka mówiła mi zawsze: „szanuj swą godność, a ludzie szanować cię będą”; nie szanowałbym się, gdybym pozwał z moich braci się naśmiewać, głód mniej mnie bolić będzie, niż zniewaga im wyrządzona.

Gdy to mówili, w czarnych jego oczach łzy błysnęły, odwrócił twarz, by ich Józio nie zobaczył, otarł prędko oczy rękawem koszuli i zwrócił się już z uśmiechem:

— Dziękuję paniczowi za to, że dobrym jest dla biednego chłopca.

Józio wzruszony sięgnął do kieszeni, miał jeszcze dwadzieścia groszy.

— Więc odemnie przyjmij przynajmniej te pieniądze, zarobiłeś je przecie — rzekł, podając mu pieniądze.

— Od panicza przyjmę — odparł Włoch, i wzięwszy dar, skłonił się grzecznie kapeluszem. A swemu koledze powiedział pan — dodał — by strzegł się z mną spotkania, bo nie ręczę, czy na jego widok nie zakipi mi gniew w sercu.

Tu hardo podniósł czoło, oczy jego znowu błysnęły dumą szlachetną.

Gdy, wróciwszy do szkoły, Józio powtórzył rozmowę, pan Skalski rzekł:

— Porządny z niego chłopiec; gdy go spotkam, dłoń mu uścisknę.

— A cóż zrobimy z pieniędzmi? — zapytał Kazio P. — przecież ich napowrót nie zabierzemy; ja za nic w świecie tych, co raz dałem biedakowi, dla siebie nie wydám.

— Radźcie sami — odparł pan Skalski.

Chłopcy namyślali się.

— Już wiem! — wykrzyknął po chwili Józio — pan Skalski zawsze nam radzi, byśmy zbierali grosze na jakiś dobry uczynek, jutro kupię skarbonkę i wrzucimy do niej te pieniądze.

Projekt został przyjęty, nazajutrz w szkole pana X. w klasie rekreacyjnej ukazała się na szafie tam stojącej puszka z napisem: „Nasza skarbonka”; chłopcy wrzucili do niej wzgardzone przez Włocha pieniądze, a Edzio dołożył jeszcze pół rubla.

— Za krzywdę, jaką wczoraj wyrządziłem zacnemu chłopcu na naszym dziedzińcu, skazuję się na pokutę — rzekł do kolegów — cały miesiąc żadnych przysmaków jeść nie będę.

Koledzy podali mu dłonie i uścisnęli serdecznie: przebaczyli mu urazę, jaką mieli do niego.

Teresa Jadwiga.

KRYSTAŁOWY ZAMEK.

B A Ś Ń.

p. Z. Morawską.

Było dwoje sierot: Adamek i Ewusia, nie mieli ani ojca ani matki, ani chaty, ani pola, ani nawet psa, coby z nimi tę smutną dolę podzielał.

Przytuliła ich do siebie stara, bardzo stara kobiecina, ale i tej się jakoś zmarło, ot zaraz na początku jesieni. Adamek więc i Ewusia zostali już teraz sami zupełnie.

Ewusia nie narzekała na swoją dolę, poszła na grób rodziców, pomodliła się serdecznie, a że była bardzo dobra i pracowita, posługiwała w chacie sąsiada, prócz tego niejednemu jakąś wyrządziła przysługę, każdy też chętnie ją jakimś datkiem obdarzał.

Z Adamkiem, chociaż był o rok od siostry starszy, było zupełnie inaczej. Nie chciało mu się wziąć do pracy, wylegiwał się tylko na słońcu, narzekał, że nie ma swojej chaty, pięknego odzienia i zazdrościł tym, którzy po całodziennej pracy do pełnej misy smacznego jadła zasiadali. Nie brakowało mu jednak na niczem, bo poczciwa Ewusia wszystkim się z nim dzieliła. Lecz o ile Ewusia była lubiona przez wszystkich i lice zawsze miała wesołe, o tyle Adamek wiecznie był nachmurzony; nikt go też nie lubił, a każdy o ile mógł omijał.

Ewusia kochała brata i bardzo się martwiła, że nie chce się wziąć do żadnej roboty.

Martwiło ją to tem więcej, że wszyscy Adamka próżniakiem nazywali, a gdy kto chciał komu przymówić, to wprost tylko wołał:

— Oho, to z ciebie widzę Adamek!

Ale raz Adamek rzekł do siostry:

— Nie będę siedział tutaj, pójdę w świat!

— To i ja pójdę z tobą — odpowiedziała Ewusia.

— To chodźmy.

I wyszli.

Ewusia kilka razy obejrzała się na wioskę, boć jej żal było z niej wychodzić, nie zostawiała tam nikogo ze swoich, ale się w tej wiosce wychowała, to i smutno jej było ją porzucać.

Ale Adamek ani się obejrzał, jeszcze wciąż z siostry żartował:

— Skarby tam jakie zostawiasz, że się tak oglądasz!

I szedł wprost przed siebie, nie zatrzymawszy się nawet pod krzyżem, który stał na rozstajnych drogach.

A pod tym krzyżem właśnie siedział siwy, ociemniały dziaduś.

Wyciągnął on do nich rękę i prosił o wsparcie.

— Ot, głupi dziad, także trafił; chyba mu swoją biedę podarujemy! — rozśmiał się Adamek.

Ale Ewusia przybliżyła się do starca i rzekła:

— Mój dziadku, nie mogę cię niczem obdarzyć, bo sama jestem bardzo biedna... ale może ci mogę w czem posłużyć?

— Wiem, że nie masz oprócz twego dobrego serca, podaj mi więc rękę i przeprowadź przez ten rów, bo kij zgubiłem, a oczy moje nie widzą światła dziennego.

Ewusia chętnie spełniła żądanie niewidomego, Adamek tymczasem siadł przy drodze i uragał:

— Wyszliśmy spać po to, żeby ślepców na drogę wyprowadzać.

Dziadek zaś rzekł do Ewusi:

— Bóg ci zapłać, moje dziecko, a za twoją przysługę dam ci taką radę: Daleko, bardzo daleko na wysokiej górze stoi prześliczny kryształowy zamek; gdy padną na niego promienie jasnej gwiazdy, mienia się w jego ścianach wszystkie barwy tęczy, a światłość bije taka, że ludzkie oko wytrzymać jej nie może. Idź więc prosto przed siebie, a jeżeli masz serce czyste i wytrwasz wśród trudnej i dalekiej drogi, otrzymasz skarby, które cię na całe życie szczęśliwą uczynią.

Adamek, usłyszawszy o skarbach, zerwał się na równe nogi i przybiegł do mówiącego, ale dziadek, nie spojrzawszy nawet na niego, odszedł szybko i wkrótce im z oczu zniknął.

— A to ci dziad! przed chwilą ledwie nogami włóczył, a teraz uciekł, ani go oko! — zawołał z pewną uciechą Adamek.

I srodze nachmurzony poszedł w dalszą drogę wraz z siostrą.

Przy drodze rosły piękne drzewa, obciążone wonnym owocem, były tam grusze, śliwy, jabłonie a wśród nich jedna z takimi prześlicznymi czerwonymi jabłkami, jakich Ewusia i Adamek nigdy jeszcze nie widzieli. Adamek miał wielką ochotę zerwać kilka jablek, ale wstydził się jakoś siostry, bo wiedział, że Ewusia zawsze się na niego gniewała, ilekroć chciał zerwać owoc z cudzego drzewa.

Ewusi również aż ślinka do ust leciała na widok owych wonnych jabłuszek, nie przeszło jej jednak przez myśl, żeby rękę po ten piękny owoc wyciągnąć.

Przeczuwając zaś chętkę brata, rzekła:

— Pójdźmy, Adamku, może tam w dolinie znajdziemy strumyk, ochłodzimy się wodą i posilimy chlebem i serem, com go dostała od tej dobrej gospodyni, której wczoraj pomagałam w robocie. Pójdź, pójdź — dodała, widząc, że brat jakoś się ociąga — prędzej zajdziemy do owego kryształowego zamku.

Adamek, przypomniawszy sobie o skarbie, pospieszył za siostrą.

Idąc jednak myślał ciągle o owej wielkiej jabłoni i prze-myślał jakby się wrócić i natraść tych prześlicznych jabłuszek.

Wkrótce zeszli ze wzgórza, i Adamek rzekł:

— Pójdę, poszukam źródelka, bo mi się pić chce, a ty poczekaj na mnie. A gdy nadejdzie jaki stary żebrak, to go

nie puszczaj, póki ci doskonale o jakich skarbach nie rozpowie! — żartował, odchodząc.

Ale zamiast szukać źródelka, wrócił pod ową wielką jabłoni i począł rzucać kamykami, ażeby stracić nieco jabłuszek.

Upadło jedno jabłko tak piękne, że Adamek, mimo swe go łakomstwa, nie zjadł go, tylko obejrzawszy schował do kieszeni, mówiąc:

— Takie śliczne, niech się niem pierwszej nacieszę!

I znów zaczął rzucać kamieniami; jabłka jak grad się posypały.

Adamek zjadł jedno jabłko, smakowało mu bardzo, ugryzł drugiego kawałek i zaraz wyplunął, wołając:

— Pfe, jakież to niełobre!

To samo było z drugim i trzeciem.

— Cóż to za dziwne drzewo, pierwsze jabłko spadło piękne i pachnące, reszta — pożał się Boże! — pomyślał sobie.

— Nie warto się trudzić!

I wrócił do siostry. Znalazł ją odpoczywającą po drugiej stronie wzgórza.

— Pójdź prędko — zawołała Ewusia — bo trzeba iść w dalszą drogę.

(d. n.)

NOWE KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY.

W dalszym ciągu sprawozdania z nowych książek, umieszczonego w poprzednim numerze, zaznaczamy jeszcze „Księgę sławniejszych odkryć geograficznych” Wł. L. Anczyca (w księgarni pp. Gebethnera i Wolffa), czwarte wydanie poprawne i uzupełnione przez Wł. Umińskiego. Są tu naj-pierwej pojęcia o świecie w starożytności, historia żeglugi, geografia w wiekach średnich, odkrycia Indyi Wschodnich, Ameryki, Australii, niektórych łądów afrykańskich, wyps rozmaitych, oraz wyprawy podbiegunowe, słowem rzeczy ciekawe i pouczające, wydanie ozdobne z rycinami w tekście. Pod ogólnym tytułem: „Szlachetne serca”, p. Wizbek wydał trzy powieści dla młodzieży Teresy Jadwigi: Miłosierdzie, Nie kochana i Pocziwe zamiary. Pierwsza jest obrazkiem wpływu miłosierdzia na ubogie dzieci — na dobrego i łagodnego chłopczyka, oraz kradźbrnego i złego, z których pierwszy utwierdza się w dobrem postępowaniu, drugi zaś poprawia z wad swoich. „Nie kochana” jest zazdrosną dziewczynką uznającą w końcu swoje winy i unikającą nadal okazyi do popadnięcia w brzydką wadę zazdrości. „Pocziwe zamiary”, uwieńczone są w końcu spełnieniem ich przez bohatera powieści.

W księgarni p. Wiz: wyszły także: Na letnim mieszkaniu p. Wł. Nowickiego, opisy zabaw dzieci na wsi, również jak zajęć rolniczych, „Dla myślącej dziatwy” szereg szarad i zagadek, których odgadywanie może być przyjemną rozrywką, oraz początkowe zasady geometrii pod tytułem: „Cyrkiel i Ekierka”. O książkach które ukażą się później nie omieszkamy również wspomnieć.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Teresa Jadwiga, (dwudziestopięciolecie jej działalności autorkiej) (z ryc.) — Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Dług ojcowski, powieść przez E. Jerlicza. — Podróż Nansena, według jego opowiadania (z ryc.) — Mały Włoch, p. Teresę Jadwigę. — Kryształowy zamek, baśń p. Z. Morawską. — Nowe książki dla młodzieży. — Dodatek: Śniadanie wiersz przez Zet. — Przed Gwiazdką przez K. Ślósarską. — Na święta. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

WIECZORY RODZINNE

ŚNIADANIE.



Dziś u Jani jest śniadanie,
A kto grzeczny, ten dostanie.
Duduś grzeczny, więc Maryanek,
Co się uczył cały ranek,
Sadza pieska na kanapie.
Ale Duduś wszystko łapie
I najpierwej chce jeść wety.
Maryan związał róg serwety
I usadził wreszcie psinę.
Duduś siedzi, łyka ślinę...
Kot na taburecie siedzi,
Wącha zdała, lecz się biedzi,
Bo mu jeszcze nic nie dano...
A on nawet dzisiaj rano
Nie jadł myszki...

Grzecznie czeka
Żeby mu podano mleka.
Jania z swą córeczką Minią
Gościom swym honory czynią.
Minia grzeczna nic nie zjada,
Choć wyborna czekolada.
Nakrycie również wspaniałe,
Z ciast i czekolady całe.
Z cukru kieliszki, butelka
I cała zastawa wielka.

Zet.

Przed Gwiazdka.

— Śliczny jest mój aniołek, prawda mamusiu? — mówi Julcia, układając się do snu, spojrzawszy na obrazek, zawieszony nad łóżeczkiem.

— Oj śliczny, śliczny panienko! — potwierdziła niania, a Julcia, leżąc spokojnie, przypatruje się wciąż jeszcze małej, jasnowłosej główce, wychylającej się ku niej z ramek obrazka.

Zwolna przymykają się zmęczone oczęta dziewczynki, lecz widzą jeszcze ciągle uśmiechające się do niej usteczka aniołka.

Temu to ślicznemu aniołkowi opowiada Julcia cichutko o swoich przykrościach i uciechach; on wie najlepiej kiedy była grzeczna, a kiedy mniej dobrą, więc też i dzisiaj przed bliską wigilią o gwiazdce z nim rozmawia. Bo, co prawda, Julcia stara się być grzeczna, ale rozmaicie tam bywa, a mama powiada, że tylko dobre dzieci choinkę dostają.

— A ja czy jestem dobrą? — zapytuje Julcia i słu-

cha, co też aniołek jej odpowie. Ale aniołek uśmiecha się tylko ładnie i patrzy figlarnie swymi szafirowymi oczkami!

Julcia usypia... a wtedy szept aniołka, cichy, jak powiew wietrzyka, odpowiada: O! dobrym trudno być na świecie, bo trzeba ciągle myśleć o drugich, żałować i wspierać biednych, pocieszać smutnych i chorych, ale i dobre chęci już są coś warte, a ty Julciu starasz się nie martwić mamusi i żałujesz gdy jesteś niegrzeczną. To też Bóg nie zapomniał o tobie i dał ci dobrą mamę, która pewno o swej pieszczotce w wigilię pamiętać będzie.

I odgadł aniołek: nazajutrz wieczorem śniło się znów Julci, że miała ślicznie ustrojoną choinkę, a przy niej leżały zabawki przeróżne.

Uciechy było we śnie co niemiara, podziękowań bez liku i mamie za dary i aniołkowi za obietnicę, a najwięcej Bogu, że dał jej taką dobrą, kochaną mamusię, jakiej chyba niema drugiej na świecie.

A gdy Julcia się obudziła widziała, że aniołek znów się do niej uśmiechał, jakby się cieszył, patrząc na jej rozpromienioną szczęściem twarzyczkę. Czy to było jeszcze we śnie, czy na jawie, tego nie wiem, ale wiem z pewnością, że dzieci zawsze otrzymują dary na gwiazdkę, gdy anieli stróże radzi są z ich postępowania.

K. Ślósarska.

NA ŚWIĘTA.

Mrowie chłopców większych i mniejszych wysypało się z uderzeniem dzwonka.

Korytarz zawrzał życiem, rozsypywały się książki, leciały w górę czapki, i z zarzuconemi za ledwie szynelami wybiegano na ulicę.

— A ty co się tak gramolisz? — mówił Edzio do Michasia.

— A po cóż się mam spieszyć? — odparł tenże.

— Jakto? przecież się rozjeżdżamy.

— Ja nie jadę na święta!

— Nie jedziesz?... dlaczego?

— Bo nie mam gdzie jechać.

— No, do domu naturalnie.

— Ja nie mam domu, bo nie mam rodziców.

— Nie masz rodziców?... — zapytał innym zupełnie ciałym tonem Edzio. — I masz tu zostać na święta? O, jakże to być może? To jedź ze mną.

— Cóż znowu — odparł zapraszany. — Naprzód: ja nie mam na to pozwolenia, następnie, ty znów nie możesz mnie zapraszać bez wiedzy rodziców.

— O! o to możesz być spokojny. Moi rodzice będą i bardzo radzi.

— Nie wątpię, ale dziękuję ci, nie mogę jechać.

— Musisz i basta!

I Edzio wybiegł, pozostawiając kolegę, zabierającego się do wyjścia. Niedługo potem wpadł do domu, gdzie stał oczekującego ojca.

— Jesteś nareszcie. No, zabieraj się prędko, bo mama nas tam wygląda niecierpliwie.

— Tatusiu! ja mam wielką, bardzo wielką prośbę.

— No, cóż takiego?

— Niech tatuś pozwoli zabrać kolegę do nas na święta.

— Bardzo chętnie.

— Ale, bo to widzi tatuś, trzeba na to pozwolenia...

— Czyjego?

— Ze stancyi...

— Więc trzeba iść tam...

— A tak właśnie...

— No to chodźmy.

Prędzej i głódziej poszła ta formalność, niż przypuszczano, i uszczęśliwiony Edzio zabrał się prędko z Michasem do pakowania jego rzeczy.

— A to się pysznie udało! — co chwila wykrzykiwał Edzio radośnie, Michaś tymczasem był dziwnie oszołomiony tak niespodziewanym wyjazdem.

Zapakowano wreszcie wszystko i ruszono w drogę. Edzio, uszczęśliwiony zdobytym towarzyszem na święta, był niezmiernie wesoły, Michaś zaś onieśmielony siedział hutko obok pana Elskiego.

Jakkolwiek konie podążały do domu pospiesznie, to jednak dłużyła się chłopcom droga. Edzio radby już być w domu, gdzie go mama z młodszem rodzeństwem oczekuje, a Michaś ciekawie wygląda tego nieznanego mu domu, który musi jednak być ładny i miły, skoro tak do brzy w nim mieszkają ludzie.

Po przebyciu trzymilowej przestrzeni ujrano cały szereg chat.

— To nasza wieś — rzekł Edzio.

Niezdługo konie stanęły przed ślicznym dworkiem, i Edzio jednym susem wpadł do sieni.

Za nim wszedł pan Elski z Michasiem.

— Mamy gości. Kolega Edzia przyjechał z nami na Święta — mówił pan Elski, przedstawiając żonie Michasia.

— O, to nam zrobił wielką przyjemność — odrzekła pani Elska, serdecznie witając przybyłego.

Młodsze rodzeństwo Edzia, z dwóch siostrzyczek i braciszka złożone, ciekawie przyglądało się gościowi.

— Macie drugiego Edzia. Widzicie, tak samo ubrany, jak ja, tylko mu Michaś na imię — rzekł Edzio.

— A panience jak na imię? — pyta Michaś starszej dziewczynki.

— Mnie Jadzia, a to jest Stasia — dodała, wskazując na siostrzyczkę. — Mamy jeszcze drugiego braciszka, o ten, Józio mały.

Znajomość więc została zrobioną, i wszyscy zasiedli do stołu.

Na drugi dzień Edzio zaznajomił Michasia z całym gospodarstwem, a szczególnie z końmi, które bardzo lubił. Nie można teraz jeździć konno — wyrzekł — ale za to sanny użyjemy, jak śnieg spadnie.

Długie wieczory tymczasem, w ścisłym kółku spędzane, codzień więcej zbliżały Michasia do domowników.

Najbardziej lgnął do niego maleńki Józio, zachwycony wiatraczkami, które Michaś tak zręcznie wyrabiał, a siostrzyczki Edzia nie mogły dość się nacieszyć różnymi figielkami z papieru, które coraz inną formę przybierały w rękach małego sztukmistrza.

Mróż wreszcie zelżał, i pan Elski śnieg przepowiadał.

Jakaś jasność, bijąca z okien, uderzyła pewnego rana tylko co przebudzonego Edzia.

Wyskoczył z łózka.

— Śnieg! śnieg! wstawaj, pojedziemy sankami — zawołał na Michasia, nakładając prędko ubranie.

Michaś, podniecony radosną nowiną, również pospieszył z ubieraniem.

Zjadłszy śniadanie, ruszyli we dwóch w pole maleńkiemi saneczkami.

Wyborna sanna zachwycała chłopców. Sunęli szybko po puszystej drodze.

— Wiesz co? objedziemy naokoło i przez Czerwin wrócimy — mówił Edzio.

— A nie będzie to czasem za daleko; może się ojciec będzie gniewał!

— E, taką wyborną sanną przemkniemy niedługo.

I jechali dalej, rozkoszując się tą tak wielce pożądaną przyjemnością.

Po chwili śnieg zaczął pruszyć, i słońce się trochę przyćmiło.

— To się uściele pyszna sanna! wystarczy nam na święta — cieszył się Edzio.

Śnieg sypie tymczasem coraz więcej, aż naraz zrywa zadyмка. Edzio konia popędza, a zawierucha wzmacnia coraz więcej.

Wicher gwałtowny kręci w kółko, tumanami unosząc śnieg, na polach leżący, z czego tworzy się taki śnieg, że koń ustaje, a im samym zapiera oddech. Edzio krąży się dokoła z trochę niepokoju.

— Wiesz co? zablądziliśmy — rzekł w końcu.

— Jakto? przecież znasz drogę.

— Tak, ale tu drzew niema, a rowy zasypało, więc nieźle zmyliłem drogę.

— To zawróć.

— Kiedy nie wiem, w którą stronę.

Obejrżeli się poza siebie. Ani koń, ani sanki nie stawiały śladu. Śnieg zasypał wszystko.

Smutno się chłopcom zrobiło. Obaj jedną troskę w tej chwili: jak tam niespokojni o nich muszą być domownicy.

Edzio, nieco doświadczony w tym względzie, użył tu niezawodnego w takich razach i, puściwszy lejce, zdał się na instynkt zwierzęcia.

Koń poruszył nozdrzami i mimo zawiei puścił się w przód. Śnieg sypał wciąż w oczy, więc chłopcy nasunęli sobie na głowy i czekali kresu podróży.

Jazda tymczasem przedłużała się jakoś, i zaniepokojony Edzio wyjrzał, by zobaczyć, gdzie się znajdują.

— Wiesz, ten koń wyprowadził nas gdzieś na ma-

Nie wiem, doprawdy, co teraz będzie, bo nie mam pojęcia, gdzie się znajdujemy.

— E, chyba on nas gdzieś zawiezie, przecież koń mój, zawsze trafi do domu. Może tylko inną drogą.

— Ha, zobaczymy — odparł smutnie Edzio.

Idą więc dalej, o ile na to zadyмка pozwala, ale śnieg, jak się jazda przedłuża, chłopcom coraz smutniej robi. Nareszcie koń stanął i zarżał. Obaj odsłonięty.

Stali przed domem chcieli konia do dalszej jazdy poprowadzić, ale ten nie ruszył.

W tej chwili wyszedł gospodarz.

— Moi drodzy, którędy dojedziemy do Zalesia?

— Oho, to ze sześć wiorst stąd. Ale to nasz łysek przyjeżdża z radością, podchodząc do konia.

— A z kądzie wy znacie tego konia?

— Przecieżem go wielmożnemu panu z Zalesia przed laty sprzedawałem. Wojtek! — zawołał — patrzajno, jak przyjechał.

Chłopcy wybiegli wyrostek, i obaj zaczęli głaskać konia, który do nich wyciągał szyję.

— Ale skąd się panicze tu wzięli? — pytał gospodarz.

Edzio opowiedział swoją przygodę.

Musimy być prędzej w domu — dodał w końcu — bo domownicy bardzo niespokojni o nas. Wskażcie nam drogę.

To się na nic nie zda, bo panicze nie trafiają do domu. Już ja sam paniczów odprowadzę.

Propozycja z radością przyjęta została i chłopcy ruszyli teraz z pewną otuchą.

— A czemużeście konia sprzedali, kiedy on do was tak przywiązany?

— Bo trzeba było pieniędzy. Żona mi ciężko chorowała, więc musiałem się pozbyć konia, żeby mieć na doktora i lekarstwa. Ale żeby wielmożny pan chciał mi go odstąpić, to z radością odkupiłbym go na wiosnę.

Chłopcom dłużyla się bardzo droga, ale wreszcie dojechali do domu. Wszyscy z radością ich powitali.

Gospodarza ugoszczonego odwiedził woźnica do domu, temi samymi saneczkami. Na odjeździe zaprosił paniczów, by kiedy doń znowu przyjechali łykiem.

W kilka dni pogoda się poprawiła, i chłopcy projektowali wieczorem dłuższą wycieczkę na dzień następny.

— Jutro niema o tem mowy, jutro polowanie — odrzekła mama.

Posmutniał Edzio, bo wiedział, że podczas polowania ojciec nie pozwalał mu się z domu wydalać z obawy, by nie wszedł w linię i nie uległ wypadkowi.

Nie w smak była chłopcom perspektywa jutrzejszej niewoli.

— Wiesz co? to ulepimy jutro bałwana — wykrzyknął Edzio na pocieszenie.

Tymczasem wzięto się do czytania książki, czemu i siostrzyczki przysłuchiwały się pilnie.

Nazajutrz zabrano się do roboty. Bałwan rósł szybko ku ucieście małych siostrzyczek, które się uwijały koło pracowników, a nawet maleńki Józio poznał się na tem, bo nie pozwalał się ruszyć od okna, przez które pilnie obserwował dzieło chłopców.

Uwieńczony starym kapeluszem, stanął nareszcie na straży domostwa okazały bałwan, grożąc zuchwale zatkniętym pod pachę kijem.

Echo pobudki myśliwskiej dało znać właśnie, że łowisko ukończono, a chłopcy umieścili się w oknie, by śledzić wrażenie, jakie w ich mniemaniu to arcydzieło winno być zrobić na przybyłych.

Szereg sanek dostawił wkrótce całą kawalkadę, a każdy z przybywających, śmiechem lub żartem zaczął pisać wspaniałe ich dzieło.

Ale zapomnieli o niem chłopcy przyglądając się zdobyczom myśliwskim, przyczem, od czasu do czasu wydawali okrzyki podziwu, lub oburzenia.

(d. n.)

S Z A R A D A

Pierwsze z trzeciem dla roślin jest życia podstawą,
Dla ludzi zaś wykwinną i smaczną przyprawą.

Drugie samo, gdy znuży zabawa lub praca,
Wyczerpanemu ciału dawne siły wraca.

Wszystkie wraz — bujne wzrostem, pełne zdrowej woni,
Słyną z licznych użytków w lesistej ustroni,
Lecz gdy je ręce ludzkie ozdoba z bogactw,
Tą nieproszoną świetność zgubą życia płacą.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Ułożył Lucio K. dla Jaskółki.

. Zastąpić kropki literami,
. aby rząd pierwszy oraz pierw-
. sze litery złożyły nazwę półwy-
. spu w północ. Ameryce, rząd 2-gi
. Część świata. 3) Stolica państwa w Eu-
. ropie. 4) Gad wodny. 5) Pasma gór w
. Europie. 6) Rzeka, wpadająca do morza
. Azowskiego. 7) Przyimek. 8) Spółgłoska.

ZADANIE KONIKOWE.

Ułożyła Czarna Perełka.

gru	mi	to	do	dzie
ży	brzy	po	jak	ciąż
Bóg	dzie	ła	i	ły
są	cie	mi	cho	dzie

ROZWIĄZANIA DO N-ru 50-go:

Zagadki: Lak, rak, mak, sak.

Łamigłównki zgłoskowej:

1) Japonia. 2) Archangielsk. 3) Duros. 4) Wrocław.
5) Indyje. 6) Grudziądz. 7) Anczye 8) Łukasz (św.) 9) Uli-
ses. 10) Szpandau. 11) Zapał. 12) Ceuta. 13) Zajsang. 14)
Eskimosi. 15) Wacław. 16) Siedmiogród. 17) Kopa.
18) Andrzej.

Jadwiga Łuszczewska.

Łamigłównki kryształowej:

M
L i n
M i n h o
M i n e r w a
G a r d a
E w a
a

Skrzynka do listów.

Helence i Wandzi J. w Sadł... W imieniu biednych prze-
syłamy serdeczne podziękowania za sukienki. Radość obdarowa-
nych dziewczynek byłaby wam najmiłą nagrodą za trudy własno-

ručnej roboty, jak też zachętą na przyszłość do poświęcenia chwili
wolnych z korzyścią i pożytkiem dla bliźnich. Za skrawki dla pa-
ralityków również wdzięczni jesteśmy.

Adres Aleksandry Koś... posłaliśmy wraz z innemi, których
liczba wzrasta codziennie. Drodzy czytelnicy wzięli do serca nu-
szą odczwę, a biedne wróbelki ani wiedzą, że się niemi i pisma zaj-
mują, coż ich to zresztą obchodzi? — cieszą się i świegocą, że
wśród ciężkiej zimy nie czeka ich śmierć głodowa.

Pani R. Kosiń... Pozostałe z prenumeraty rs. 3 kop. 75,
wedle zlecenia Sz. pani przeznaczyliśmy na święta dla biednych.

L. Borodicz. Dla braku adresu nie mogliśmy przesłać żą-
danego początku powieści.

Ułanowi z T. Niteczek Aryadny zamieścić nie możemy, są
bowiem za szerokie i w szpalcie pisma się nie zmieszczą.

P-l-a-k przysłał nam dobre rozwiązanie łamigłównki i niteczkę
Aryadny, którą odłożyliśmy do przejrzenia. Oprawa całego rocznika
Wieczorów, jak również wymienionych książek, może kosztować róż-
nie, zależy to będzie od własnego wyboru okładek, które mogą być
tańsze lub droższe. „Przez lasy i przez ogień” — całoroczni
prenumeratorzy mogą otrzymać jako premium, jedynie z opłatą 20
kop. na kosztą przesyłki, jeżeli ktoś książki nie odbierze w Re-
dakcyi.

Przeczytawszy w twoim liście, Nadziejo z Częstochowy, miłą
wzmiankę o sobie, prosiłam o pozwolenie, bym ci już sama mogła
odpisać. Tym sposobem pierwsza zaczynam z tobą korespondencyę,
a żeś sobie pseudonym Nadziei wybrała — nie wątpię, że zechcesz
spełnić moje nadzieje i stale do mnie pisywać będziesz. Zdaje mi
się, że twoje łamigłównki będą mogły być pomieszczone w Wieczo-
rach, których Redakcyja bardzo ci dziękuje za serdeczne wyrazy.

Łyżwiarce i Skoczce wdzięczną jestem za pamięć, a choć po
części (jak to same przyznajecie) interes was skłonił do napisania,
nie gniewam się o to bynajmniej, bo wiem i rozumiem dobrze jak
trudno o wolną chwilę, gdy czas zajęty lekcjami. Rs. 1 na
gwiazdkę dla biednych dzieci złożyłam w Redakcyi. Interesa wasze
załatwiam też. Wieczory od 17 października wysłane wam będą,
jak również numer zaginiony.

Dlaczegoż to Malinka dopiero po roku zdobyła się na liścik?
I do tego nie wiesz jak on będzie przyjęty. Czy posądzasz Jaskół-
kę o żarłoczne zamiary zjedzenia malinki — i wątpisz o serdecz-
nem uczuciu, z jakim twój liścik powitała? — to źle, bo przez rok
czytając Wieczory powinnaś się była przekonać, jak miłą jest mi
każda odezwa kochanych czytelników. Szary wróbelek musiał po-
lecieć gdzieś dalej, bo już więcej nie nam nie donosił, ale ja, nau-
czona jego przykładem zaglądałam raz przez to okienko i widzia-
łam troje dzieci, o których on opowiadał bawiących się grzecznie
z małym, jadnowłosym braciszkiem, któremu Tolo na imię. Wszak
się nie mylę? donieś mi o tem Malinko, w przyszłym twoim liście,
którego z niecierpliwością oczekiwać będzie zawsze dla was ser-
decznie usposobiona:

Jaskółka.

Dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma, przypominamy o odno-
wieniu opłaty na rok przyszły 1897 za:

„WIECZORY RODZINNE,”

które wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami
i w tymże samym kierunku:

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie
rs. 2, kwartalnie rs. 1. — Na prowincyi rocznie rs. 5, półrocznie
rs. 2 kop. 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25. — We Lwowie i Krakowie
kwartalnie zlr. 2. — W Poznaniu kwartalnie m. 3.